

Dębski Rafał

Pasterz upiorów

Z „Science Fiction” nr 20 – listopad 2002

Kiedy zapłonął dach, przerażona kobieta, tuląc do piersi kilkuletniego chłopca, rozkazała otworzyć drzwi. Nie chciała, by z jej przyczyny ginęli niewinni ludzie. Nie chciała, żeby szczyły w ogniu jej dzieci. Machinalnie głaskała po głowie dziewczynkę uczepioną kurczowo matczynej spódnicy.

Do środka, chrzescząc kolczugą i ostrogami, wtargnął potężny woj, a zaraz za nim kilku innych. Wyweleki wszystkich na zewnątrz. Obietnica zaniechania gwałtu okazała się łgarstwem. Rozpoczęto bezlitosną kaźń.

Jeden za drugim czeladź kładła głowy na pień, bez wyboru i mężczyźni, i okrutnie pohańbione niewiasty. Na koniec wyrwano dzieci zrozpaczonej matce. Chłopiec ogromnymi z przerażenia oczami wpatrywał się w twarz oprawcy. Ten roześmiał się i powiedział coś, co wywołało śmiech pozostałych.

- Ciebie, suko - zwrócił się do kobiety, łamiąc twardo słowiańską mowę - zawieziemy do nowego pana. On cię wydoli pocieszyć, jak mi niemam, choć różnie o nim powiadają w tym względzie.

Jego słowom towarzyszył rechot żołdaków.

- A może my ją wpierw pocieszymy, Udo?

- Zamknąć się! - warknął dowódca. - Mało wam było dziewczek?

Umilkli natychmiast. Udo popchnął brutalnie chłopca.

- Zadzierzgnąć go gdzie przy bramie. Krwi bękartów przelać nam pan zabronił, ale wszak w ten sposób jej i nie utoczymy.

Kobieta rzuciła się do przodu, ale zatrzymało ją mocne ramię, dzierżące skrwawiony miecz. Szarpała się przez chwilę z oprawcą, po czym bezsilnie zwiśla, patrząc z przerażeniem i rozpaczą na to, co miało się zaraz stać. Chłopiec posłusznie poszedł za żołnierzem, w martwym bezruchu patrzył, jak tamten przerzuca linę przez belkę. Z oczu płynęły mu łzy, zupełnie jak idącemu na rzeź jagnięciu. Pętla na dziecięcej szyi wyglądała niczym okazały kołnierz. Nim zbrojny dobrze podciągnął drobne ciało na powrozie, kobieta chwyciła oburącz ostrze zagrządzającego jej drogę miecza, skierowała sztych w swoją pierś i zanim zaskoczony wojak zdążył cokolwiek zrobić, postąpiła energicznie naprzód. Dziewczynka za jej plecami zaniosła się płaczem.

Przed Udem stanął mąż słusznej postury. Do tej pory trzymał się z boku, nie biorąc czynnego udziału w wydarzeniach.

- Nie podziękujecie wam Ostępa za takie wywiązanie się z zadania - odezwał się niskim, zdartym od wydawania komend głosem, wskazując na zwłoki kobiety.

Przywódca zbójów wrzucił ramionami.

- Ano nie podziękujecie - warknął i splunął ze złością na trupa. - Ścierwo głupie. Sam widziałeś, Żegota, żeśmy babie krzywdy nijakiej nie uczynili. A ją jeno Topór kazał przyprowadzić. O szczeniętach nic nie mówił. Ba, nawet wskazywał, żeby jakoś się ich pozbyć. Sam słyszałeś, tak i siak gadał, że dokładnie nie szło odgadnąć o co mu chodzi.

Żegota bez słowa bardzo długo patrzył mu w oczy. Potem odwrócił się gwałtownie.

- Tę małą też na sznur. - Wskazał łkającą dziewczynkę. - I pogrzebać ich w jednym dole, tutaj na wzgórk. Krzyża jeno nie waźcie się stawiać. Pan Ostępa zakazał!

* * *

Życie od śmierci pozostaje oddzielone jedynie zwiewną mglistą zasłoną, muślinem nicości, w którym żadna istota nie ma prawa przebywać.

Życie tętni różowością, namiętą harmonią istnienia, zmienia oblicze swoje i oblicze świata. Śmierć, ściśle zawinięta w kokon o łagodnych, ciemnych barwach, otulona spokojem, napięciem bezruchu, przygląda się drwiąco beztroskiemu ruchowi życia, wiedząc, że trwa to tylko chwilę, że życie jest jedynie bezustannym, wytrwałym umieraniem sekunda po sekundzie, nieustającą podróżą ku jej dziedzinie.

Gdy przesycona miłością para kochanków zasypia znużona, a wydane nasienie podąża ku spełnieniu, gdy matka tuli niemowlę pewna, że może je przed czymkolwiek uchronić w ciepłe ramion, śmierć spogląda

czerwonymi z bezsenności oczami i szczerzy w uśmiechu pozółtkę, zęby. Przez mglistą zasłonę spogląda na życie - to jej przywilej i nagroda za grobowe bytowanie po koniec czasu. A życie nie potrafi jej dostrzec - to jego kara za mgnienie przyjemności.

Tylko czasem we śnie, kiedy zawiły koszmar spęta ciało i zetnie krew bezwładnym przerażeniem, życie może przebić wzrokiem muślinowe zawoje i dostrzec niewyraźny kształt, od którego natychmiast odwraca oczy, budząc się w przepoconej strachem pościeli.

Wtedy po przebudzeniu, strzeż się i miej oczy szeroko otwarte. Patrz czujnie na bliźnich, uważnie śledź ich poczynania i staraj się odgadnąć, czyje złe życzenia zesłały na ciebie okropną wizję. .Może odgadniesz, kto ma tyle złej woli i mocy w sobie, żeby zepchnąć cię w mdłe oploty mglistej zasłony. Bądź czujny i módl się, ale bacz, żeby modlitwa nie stała się przekleństwem. Czyń pokutę, lecz uważaj, by nie wyniszczyła ona twojego ducha i nie zabiła w tobie człowieka.

Bo wtedy pewnej nocy ockniesz się nagle przerażony, ale obraz nie zniknie. Będziesz jak motyl zaplątany w pajęczą sieć, zbyt słaby by ją zerwać. Świat stanie się rozmazany, niewyraźny. Odczujesz strach przed ludźmi, a jednocześnie zaczniesz pragnąć spróbować ich bezbronno ciepła.

Miłość i nienawiść. Chcesz zbliżyć się do nich, a jednocześnie są odpychający, tak że nabierasz ochoty, żeby mordować...

Wykopujesz trupy, tarzasz się w ich zgniliźnie, napawasz obrzydliwym smrodem, bierzesz je w taneczne obroty w nadziei, że przez zwyrodniały gest wskrzeszenia dotrzesz bliżej życia.

Ze stanu pół snu, pół śmierci budzi cię księżyc, bo tylko w jego skradzionym świetle można cokolwiek dostrzec. Ale i on jest wrogi - niepokoi i podsuwa okrutne myśli, pcha w poblizze ludzkich siedzib.

Gdy ogarnie cię żalność większa od twego szaleństwa, wołasz o pomoc. Ale twoja skarga jest dla ludzi jedynie potwornym, przerażającym wyciem w środku nocy.

Na Boga, Szatana, Nyję czy w co tam wierzysz, dlaczego uczyniłeś mnie strzygą?!

* * *

Lambertus, biskup krakowski, patrzył na przechadzającego się po komnacie Jędrzeja Topora. W niepewnym blasku łuczywa kasztelan wyglądał na kilka lat starszego niż był w rzeczywistości. Milczenie przedłużało się, stawało krępujące. Pytanie, rzucone przez kasztelana przed chwilą, zawisło w powietrzu na kształt burzowej chmury, czyniąc atmosferę spotkania duszną i nieprzyjemną.

- Złe zawitało w nasze strony, ot co sądzę o sprawie - odezwał się w końcu biskup. - Co innego mam sądzić? Bywa tak, gdy ostrza mieczy czerwieni się jeszcze krwią przelaną w bratobójczej wojnie. Zresztą i wiek się kończy. Są tacy, co gadają, iż niebawem nastąpi powtórne przyjście Pana i Sąd Ostateczny...

- Nie powiadałobyście byle czego, biskupie - zachnął się Jędrzej, przystając o krok przed dostojnikiem. - Mój naddziad wspominał, jak to w roku, gdy przybył do Chrobrego niemiecki cesarz, także wieszczono o końcu świata. Głupi pozbywali się dóbr, a sprytni je przejmowali i gromadzili. Dziś widać, że ci ostatni mieli słuszość, bo jak łatwo zauważyć, świat nadal istnieje i dalej rządzi nim pieniądz, a nie sprawiedliwość boska. A mnie mnisi zadręczają prośbami o pomoc! I to dzisiaj już, a nie na koniec świata dopiero!

Przysiadł ciężko na ławie przy okiennym wykuszu, podparł głowę dłonią.

- Bo też im strzygi żyć nie dają! Każdej pełni księżyca dobijają się do bramy! Coraz są też śmielsze i bardziej bezczelne. Patrzeć tylko jak do środka wtargną!

- Niech sobie braciszkwowie bramę srebrem obiją - mruknął Jędrzej. - Stać ich!

- Obili, a jakże, obili. Srebrzone okucia niby żebra na wrotach gęsto zostały ułożone. Ale potworów to nie odstrasza. Z bólu wyją, o srebro łapy smażą, ale ze szturmów nie rezygnują! Zupełnie jakby w środku znajdowało się coś, co je przyciąga tak silnie, że nie zważają na żadne niebezpieczeństwo ni ból.

- O czym myślicie?

Biskup wzruszył ramionami, na pozór obojętnie, jednak ukradkiem łypnął badawczo na kasztelana. Ten pochwycił spojrzenie, zerwał się jak oparzony.

- Ach, zatem i wy! - krzyknął. - I wy uważacie, że strzygi dobijają się o truchło mego świętej pamięci brata?

- Wątpię w to - Lambertus chrząknął niepewnie - jednak nietrudno dostrzec, że nękanie klasztoru zaczęło się od czasu, gdy złożono tam zwłoki dobrodzieja naszych benedyktyków... Dla maluczkich to wystarczający powód do gadania...

- I dla maluczkich, i dla wielkich, jak widzę. -Jędrzej uspokoił się równie nagle jak wybuchnął. - Każdy powód dobry, by rzucić na kogoś osławę... Ale i mnie samemu zaczęło to przychodzić na myśl...

- Co też powiadacie, kasztelanie - biskup zmarszczył brwi. - Czego mogłybyście chcieć piekielne poczwary od tak zacnego człowieka jak Ostępa, od dobroczyńcy Kościoła?

Chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu zgrzytliwy śmiech Topora.

- Zaczny człek mówicie, biskupie? Dobroczyńca Kościoła? - Spoważniał. - Spowiadaliście go na łożu śmierci, wiecie równie dobrze jak ja, a pewnie i lepiej, jakie sprawy na sumieniu miał mój braciszek, ilu ludzi ukrzywdził. Wiecie zapewne i to, że parał się rzeczami wcale nieprzystojnymi bogobojnemu chrześcijaninowi, a co najgorsze, wysługiwał się nieczystym dla swoich celów! Tak po prawdzie to cień na imieniu Toporczyków położył. Nie on jeden zresztą - dodał ciszej. - Pewnie nie był gorszy niżli Sieciech.

- Nie gadajcie byle czego - szepnął biskup, blednąc. - Ściany mogą mieć uszy nawet w waszym własnym dworcu. Palatyn wszędzie ma swoich ludzi, a ręce długie, że i w obcym kraju potrafi dosięgnąć wroga, zważać też nie zwykł na więzy krwi w swych porachunkach... Obaj wiemy, co myśleć, nie trzeba więc po próżnicy strzępić języka. Macie rację, że wasz brat, świec Panie nad jego duszą, był grzesznym człowiekiem. Skoro już zaczęliście o tym mówić, nie wypada mi przeczyć. Zdarzało mu się pobłądzić, osobliwie w sprawie Przedstawy Ostrzewa, ale i miał swoje powody.

Kasztelan znowu usiadł, wsparł głowę na rękę.

- Przypodobać się chciał Ostępa księciu Włodzisławowi - odezwał się głuchym głosem - i nienawiść swoją nasycić, którą żywił do Ostrzewa, odkąd ten ubiegł go w zalotach do białogłowy. Wiem, wiem... - Machnął niecierpliwie ręką. - Była mu obiecana i gdyby nie poparcie Śmiałego, musiałby Przedstaw obęść się smakiem. Krzywda Ostępie była, jeno nie taka, co tłumaczyć może branie pomsty na bezbronnej niewieście czy małych dzieciach... Nie ta jedna zresztą zbrodnia na jego sumieniu. Wiem, że i w otruciu młodego Mieszka Bolesławowica maczał palce. Przekleła go za to stara królowa. Wiem, bo byłem przy jej śmierci... Do dziś śni mi się jej wychudła, zniszczona twarz... Krzyczała, że upiory pomordowanych upomną się o przelaną krew... Sama wtedy wyglądała jak upiór.

Biskup poczuł przechodzący po plecach dreszcz.

- Ostro oceniacie swojego brata...

- Prawdę wszak gadam, a mogę, bo to moja krew! Innym tego nie powiem i mówić źle o nim nikomu nie pozwolę, ale wam ufam i nie mam co się przed wami kryć.

Otrząsnął się nagle, jakby wyszedł z lodowatej kąpieli.

- Wróćmy jednak do rzeczy. Radźcie, co wypada czynić w tyńieckiej sprawie. Bo że mnichom strzygi, mnisi wam, a wy mnie z kolei spokoju nie dacie, to pewne.

Lambertus zamyślił się, twarz mu zmierzchła.

W tej samej chwili rozległy się szybkie kroki i do komnaty wpadł zadyszany pacholik. Był blady jak kreda, a po twarzy ściekały mu strużki potu.

- Jego wielmożność opat Jan doprasza się waszego przybycia do klasztoru. Coś tam się wydarzyło straszliwego, że mnich, którego wieść przyniósł słowa więcej wykrztusić nie umiał.

* * *

Strażnica nad bramą klasztorną była zbryzgana krwią niczym miejska jatka w zapusty. Opośadał trupa rosnącego, przybranego w pancerz, mężczyzny z rozerwaną grdyką, spoczywało nagie ciało dziecka, kilkuletniej może dziewczynki. Jak wszystko wokół, i ono było pomazane posoką. Pod ścianą mnich w pokrytym rdzawymi plamami habicie oddawał ostatnie technienie.

- Nawet go nie tknęła - wyszeptał opat, wskazując zakonnik. - Z samego przestachu serce musiało mu pęknąć.

Lambertus przyłożył do twarzy rąbek szaty. Słodkawy zapach surowizny przyprawiał o mdłości.

- Jeżeli dobrze widzę - odezwał się Jędrzej, patrząc na trupa w kolczudze - to niejaki Udo, człowiek świętej pamięci Ostępy. Myślałem, że wyjechał. Ale widać nie miał nawet na tyle przyzwoitości...

- Po śmierci waszego brata, ofiarował nam swoje usługi - opat nadal mówił szeptem. - Odkąd strzygi poczęły podchodzić pod klasztor, każdą noc spędzał na wieży bramnej. Wierny był jak pies.

- Opowiedzcie, jak to się stało. - Biskup podszedł do okna. Powiew powietrza łagodził nieco odór panujący w pomieszczeniu.

- Nigdy jeszcze... - Opat pokręcił głową, zamilkł i dopiero po chwili podjął na nowo: - Nigdy jeszcze nie widziałem takiej furii u tych potworów - splunął i przeżegnał się. - Szturmowały bramę, choć swąd palonego ciała dochodził aż do mojej celi. Parzyły się o okucia, ale nie przestawały. Zaraz przybiegłem tutaj, słysząc straszny krzyk. Porzuciłem modlitwy, chwyciłem krucyfiks i przybiegłem...

Urwał, podszedł do okna, odsuwając na bok biskupa. Zacerpnął świeżego powietrza.

- Zobaczyłem, jak straszliwy upiór, klęcząc na piersi tego woja, chłepce krew... Brat Leon leżał pod ścianą, myślałem, że i jego ubiła poczwara... Nimem zdołał się zastanowić, przyskoczyłem do strzygi i wyciąłem ją w łeb krucyfiksem... Tak jakoś utrafiłem, że ramię krzyża przebiło skroń... Bryznęła posoką dookoła jakby pękł wielki pęcherz z krwią... A potem... potem...

Wskazał na dziecko.

- Ni stąd, ni zowąd ujrzałem w miejscu utrupionej strzygi tę dziewczuszkę tak, jak tu mnie leży...

- Tak - mruknął Jędrzej. - Znaczy, że poświęcone miejsce nie jest dla strzyg całkiem niedostępne.

- Właśnie - podchwycił Lambertus - zatem innego wyjścia nie widzę, jak obsadzić zbrojnymi klasztor i bronić bestiom dostępu za wszelką cenę, a jeśli się dało, to i ubić. Dobrac do tego trzeba ludzi spośród najdzielniejszych, co cięższych pachotków z waszego rodowego hufca. Zaś przez cały czas szukać komyszy strzygoni, bo przecież gdzieś się podziewać muszą gdy nie ma pełni lub gdy dzień je ze świata zegna...

- Tyle tylko z tego będę miał pożytku, że choć przez jakiś czas moi ludzie będą objadać mnichów zamiast pustoszyć zamkowe spiżarnie. - Niewesoło uśmiechnął się kasztelan.

- We wszystkim trzeba odnajdywać dobre strony. - Odpowiedział uśmiechem biskup.

- Opat patrzył na nich oczyma, w których widać było jeszcze ogromny strach, jaki stał się jego udziałem. Wglądało na to, że wszystko, co dzieje się dookoła, dociera do jego umysłu z pewnym opóźnieniem.

- A co z tym? - Wskazał na dziewczynkę.

- Sami wiecie najlepiej. - Wzruszył ramionami Topór. - Głowę odjąć i członki, a potem zakopać w różnych miejscach, w cztery strony świata.

Opat przeżegnał się.

- Toż to pogańskie obyczaje... To wbrew naukom...

Jędrzej pochylił się nad zakonnikiem. Górował nad nim więcej niż o głowę.

- Jak chcecie - wycedził, zbliżając swoją twarz do twarzy opata - możecie sobie pogrzebać tę małą w swojej kaplicy. A ona następnej pełni odpłaci wam za dobroć. Pogański czy nie, obyczaj nie wziął się znikąd. Albo zrobicie jak mówię, albo możecie nie liczyć na moich zbrojnych i na moją kiesę!

- Nie czas, opacie Janie, na roztrząsanie, czy coś jest zgodne z naukami ojców Kościoła, czy nie - poparł kasztelana biskup. - Oni nie miewali do czynienia z upiorami. Przynajmniej nie z takimi...

* * *

Można było przypuszczać, że duch nawiedził pogorzelisko w księżycową noc, gdy zbrojny mąż stał bez ruchu z przymkniętymi oczyma, wdychając cierpką woń spalenizny.

- Co powiesz, Panie? - Wzniósł twarz ku niebu. - Pozwoliłeś i na to? Wszak jesteś miłosierny, wszechmocny... - Głos mu się załamał. - Czy Ty w ogóle istniejesz? A może jesteś tylko tym, co sam stworzyłeś? Może jesteś tak samo podły jak cały ten świat?!

Chłop stojący przy wozie opodał, patrzył na woja z przerażeniem. Pewnikiem pan Ostrzew oszalał, gdy z niebem taką zaczął rozmowę. Na resztę niebezpiecznie przebywać w pobliżu takiego, bo to wiadomo, iż złe szaleńca zwykło się trzymać. Zaczął się chyłkiem wycofywać, porzucając pod drzewem przyniesione narzędzia. Tańsze one niż zbawienie. Niech się możny pan sam nimi parają po nocy. i

Przedślaw nie odwrócił się nawet słysząc skrzyp kół. Towarzysz nie był mu już do niczego potrzebny. Nawet lepiej, że odszedł. To, co miał do zrobienia nie było sprawą nikogo innego, tylko jego własną.

Ponoć już dwa lata minęły od tragedii, a zgliszcza wciąż oddawały niebu ostry zapach skargi. Tak cuchnęły wsie dookoła Akki, gdy przybyli tam dzień po wojskach przedniej straży. Wtedy właśnie postanowił powrócić do domu, porzucić Gotfryda i jego sprawę. Obmierzło mu mordowanie pod znakiem krzyża. Zbyt wiele razy widział, jak wielcy panowie łamią święte przysięgi, by nie zacząć wątpić w przyrzeczenia jakichkolwiek książąt z Hermanem włącznie.

I miał rację...

A miało chronić jego rodzinę książęce prawo, gdy wyruszał na wyprawę! Tyle ono warte, co i rzekomy majestat bratobójcy... Złe nasienie. Jakże to się stało, że Kazimierzowi synowie byli tak różni?

Niespiesznie podszedł do drzewa, pod którym zostały złożone narzędzia, wziął łopatę i skierował się w stronę wyrzucenia ziemi wyrastającego opodał pogorzeliska. Kiedy odjeżdżał do Ziemi Świętej, tego wzgóreczka tutaj nie było.

- Witajcie, najmilsi - mruknął. - Witajcie, skarby moje. Czas was pogrześć w poświęconej ziemi. I nikt nie waży się wam tego odmówić...

* * *

Kasztelan rzucał się gwałtownie na łożu. Wiedział, że śpi, śniąc straszliwy koszmar, ale nie potrafił się przebudzić. Wyciągały się ku niemu szponiaste, potworne dłonie, a świszczący szept rozbrzmiewał wprost w głowie, grożąc straszliwymi mękami. Miał okrutne poczucie obcowania z czystym złem. Jego czoło pokrył lodowaty, lepki pot, a ciało drżało w strachu nigdy nie zaznanym na jawie. Kiedy w końcu wyrwał się z sennego oparu, leżał przez chwilę, ciężko dysząc, zanim klasnął w ręce i nakazał przynieść do komnaty światło.

* * *

Ostrzew długo patrzył w wykopany dół, chwycił się za głowę, potem spojrzął z wyrzutem w niebo.

- Za co?! - zawołał. - Czyż nie walczyłem na Twą chwałę, czyż nie mordowałem z Twoim imieniem na ustach?! Za co mnie tak doświadczasz? Za co ukarałeś moich bliskich?! Dlaczego uczyniłeś z nimi to... właśnie to...

Zgrzytnęła stal. W świetle księżycy zalśniło ostrze wąskiego, wschodniej roboty sztyletu.

- Niech zbrodnia dołączy do zbrodni. Nie ma już na tym świecie tego, na kim miałbym się pomścić. Pójdę po niego tam, gdzie jest teraz... Słyszysz mnie, Boże, Panie na niebiesiach? Ja, Twój sługa, idę do Ciebie, by pomścić krzywdę! I nie próbuj mnie powstrzymać! Niech na ten świat przyjdzie, kto ma dokonać za mnie pomsty! Panie mój... - szepnął. - Królu... Jeśliś gdzie jest, wróć i pomścij... Przekleństwo na was, krzywdziciele niewinnych!

Spojrzał w głębię mogiły, zasłonił dłonią oczy.

- Dlaczego?!

Sztylet zatoczył krótkim błyskiem łuk i zakończył drogę w odsłoniętej piersi. Ciało zważyło się ciężko na ziemię. Jeszcze tylko przez chwilę drżąca w konwulsjach ręka wyciągała się w stronę nieba zaciśniętą pięścią.

* * *

Twarz Jędrzeja Topora wyrażała złość i niepewność pomieszane w równych proporcjach. Opat, biskup i Żegota, setnik rodowej drużyny, patrzyli na niego z wyczekiwaniem. Zostali wezwani nagle, oderwani od zajęć, których w ostatnim czasie żadnemu z nich nie brakowało.

- Kilka pacierzy temu przyznał posłaniec z Płocka. - Kasztelan oparł się ciężko o stół. - Przywiózł książęce rozkazy w naszej sprawie - przerwał, przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby wsłuchiwał się w ciszę, przez którą przebijał się szum zacichającej powoli ulewy. - Otóż, moi panowie, miłościwie nam panujący książę Włodzisław zabrania nam zabijać albo w jakikolwiek sposób krzywdzić strzygi, jeżeli wpięrow nie przekonamy się, że któraś z nich nie jest - urwał i zaczął ciężko dyszeć - nie jest upiorem Bolesława! - wyrzucił gwałtownie.

- Czym?!

- Jak powiadacie?!

- Nie zabijać?

Trzy okrzyki zlały się w jeden. Topór roześmiał się.

- Dobrze usłyszeliście. Nim zabijemy upiora, mamy wpięrow się przekonać, czy to nie świętej pamięci książęcy braciszek powrócił, by podziękować za wszystko dobro, które uczyniono jemu i jego synowi!

- Ale jak?! - nie wytrzymał setnik. - Jak poznać, czy diabłu podobny stwór jest tym, czy kim innym? Wszak to widać dopiero po ubiciu ścierwa...

- Ty, Żegota... - Jędrzej uśmiechnął się złośliwie. - Nie nazywaj pochopnie ścierwem czegoś, co może się okazać krewnym miłościwie nam panującego. To mogłoby zostać przez pewnych możnych ludzi bardzo źle odebrane.

Setnik zamilkł i spojrzął niepewnie na kasztelana. Mówi poważnie czy kpi? Z jego twarzy niewiele można było wyczytać.

- Co radzicie uczynić?

Zapadło ciężkie milczenie.

- No, mówcie. - Jędrzej zająrzył w twarz Lambertusa. - Radźcie, biskupie. Rozkaz księcia jasno mówi...

- Do licha z rozkazem! - Żegota zerwał się z ławy. - Mamy dać się pozarzynać jak bezradne owce?!

Róbmy dalej tak, jakby żadnego posłańca nie było!

- I ja tak uważam - poparł go opat. Biskup pokręcił głową.

- Nie może mieć pojęcia książę, co się tu u nas dzieje. Gdyby to zobaczył na własne oczy, zapewne nie wydałby podobnych poleceń. Jednakowoż wydał rozkazy i nie pozostaje nic innego, jak dać im posłuch. Winien mu posłuszeństwo i kasztelan, i my wszyscy.

Topór patrzył ciężkim wzrokiem na swoich doradców.

- Wydał rozkazy - rzekł głucho. - I jak słusznie rzekł eminecja, jako kasztelan grodu i rękodajny jego książęcej wysokości zobowiązany jestem dopilnować, aby zostały wypełnione.

- Naprawdę zamierzacie to zrobić? Inaczej załóżcie sobie na szyję pętlę. - Biskup z napięciem wpatrywał się w twarz Jędrzeja.

Odpowiedziało mu milczenie.

* * *

Z zamyślenia wyrwało kasztelana głośnie walenie w drzwi.

- Wejść! - warknął groźnie. - Czego, Miłek, larum podnosisz? Czesi nas napadli?

Pachołek spojrział nieprzytomnie.

- Czesi? - wymamrotał. - Czesi? Skądże, pokój przecie mamy. - Spojrział niepewnie.

- Czego więc tak hałasujesz?

- Powiadają - złapał głęboki oddech - że Przedstaw Ostrzew powrócił!

Topór poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Ostrzew? Przecież miał zmarnieć gdzieś na szalonej wyprawie do grobu Chrystusa!

- Skąd wiadomość?

- Berkas, chłop z Morawicy o świtaniu przybiegł. Mówi, że sam Ostrzewa nie tylko widział, ale wraz z nim na pogorzelsku był.

- Dawać go tu natychmiast!

Pachołek zniknął. Po chwili pojawił się, ciągnąc za sobą słabo opierającego się chłopca.

- Tyś jest Berkas? - Topór spojrział surowo. - Palatyna Sieciecha poddańcie?

- Ano ja. - Chłop zgiął się w nieporadnym ukłonie.

- Powiadaj, jak to z Przedstawem Ostrzewem było?

- Berkas spojrział przestraszony na groźnego kasztelana i zaczął coś bełkotać pod nosem. Dopiero kiedy Miłek wymierzył mu lekkie uderzenie w potylicę, zaczął składnie opowiadać.

- Pod wieczór było, dnia łośńskiego, gdy wszedł do mojej chałupy pan Ostrzew. Zrazum go nie poznał, bo mocno był odmieniony. Ogorzały na gębie i w szatach jakichś dziwnych, com nigdy takich nawet u wielmożów nie widział. Niewiele czekając, za łeb mnie wziął i pyta, zali prawda to, iż Ostępa Topór, brat wasz znaczy, nie żywie. No, com miał odrzec, jak to prawda jako słońce na niebie? Tom przyświadczył, że będzie z rok już jak go pochowano. Straszna miał twarz pan Ostrzew, gdy imię waszego brata wymawiał... Jakoby o jakim diable mówił... Wybaczcie panie, mówię jak na spowiedzi... - dodał szybko, widząc, że rozdrażnił kasztelana.

Jędrzej opuścił rękę, którą szykował się skarcić chłopca.

- Mów! - rzucił zdławionym głosem.

- Ano kazał mi zebrać narzędzia jakie mam i pójść ze sobą. Bałem się odmówić, bo patrzył na takiego, co to dla niego ubić kogoś to jak splunąć, wiecem poszedł nic nie gadając. Straśne to było miejsce, gdzieśmy poszli, a dobrze już w noc było. Dawne pomieszkanie Ostrzewa, zanim je... - Berkas zaciął się, spojrział czujnie na Topora. Ten siedział bez ruchu z zaciśniętymi szczękami. - Myślałem, iż mi dusza piętami wycieknie, ale co tam, pomyślałem, pan Ostrzew nie lękają się, to i ja nie będę. Ale kiedym sobie przypomniał, że tam ponoć pochowana jego żona i dzieciśka, tom się poczuł mocno nieswojo. A jeszcze jak samemu Bogu pan Ostrzew zaczął wygrażać, uszedłem zaraz ile sił w nogach, sprzęty swoje pozostawiwszy. Ze dwa pacierze biegłem co sił, nimem obejrzał się za siebie. I bodaj bym tego nie czynił, panie, bo ujrzałem od tamtej strony światło sine bardziej niżli bywa księżyc w zimowej osnowie. Jakby kto upiorowi w oczy spojrział. - Berkas zatrząsł się na wspomnienie i przybladł wyraźnie. - Takim był przestraszony, że w chałupie ciągiem siedział, zanim mnie stara wygnała do pana kasztelana iść. Że to, powiada, za wieść taką może się pańska łaska okazać...

Topór drgnął, wbił twardy wzrok w chłopca. Ten skulił się pod spojrzeniem, jakby się spodziewał tęgich razów.

- Uciekłeś więc, Berkas?

- Ano tak, wielmożny panie. Każden by uciekł, bywszy na moim miejscu...

- I nie wiesz, co tam się dalej działo?

- Ano nie, wielmożny panie.

- Precz! Miłek, daj mu tam grosz jaki za to, że przyszedł i dobrze po karku, że nie przyniósł wieści od razu w nocy! Konie gotuj i przykaż Żegocie, by z kilkoma zbrojnymi przy bramie czekał. Pojedziemy miejsce obejrzeć.

* * *

- Boże, jak tam jest strasznie! - Miłek pochylił się do ucha Latocha. - Niby nic wielkiego, pogorzeliśko jak pogorzeliśko, ale zgroza wisi w powietrzu... Raz czułem coś takiego, gdym kiedyś sam wracał koło cmentarza. Ale wtedy to była ciemna noc, wietrzyśko takie, że zdawało się, jakby ci kto prosto w ucho kłątwy krzyczał. A tu był dzień jasny, słońce na niebie wysoko, a mimo to po plecach ciary jak mrówy. Powiadam ci, Latoch, ponuro niby w grobie.

- Było co tam chociaż?

- Nic, właśnie. Tyle, że mogiła rozkopana i pusta, ale to pewnie Przedślaw truchła wykopał, żeby gdzieś je przystojniej pogrzebać. Nie dziwota, boć to grzech, by w nie poświęconej ziemi leżeli. Ale strasznie tam... Czujęś, jakby zza pleców miał ci się pokazać z nagła upiór jakowyś albo sam diabeł... Jakby kto z każdego zakamarka spoglądał na ciebie przesywając.

- E tam. - Stary żołnierz machnął ręką. - Czego to człek sobie nie pomyśli, gdy mu straszno.

- Powiadasz? - Miłek zaperzył się. - Dobra, może ja i strachliwy jestem, ale nasz kasztelan to chyba nie? Zaprzeczysz?

- Ano nie. - Latoch z szacunkiem zdjął z głowy mykę. - Pan Topór dzielny mąż i też by była twierdzić, że podszyty tchórzem. Gdyśmy jeszcze razem ze świętej pamięci Bolesławem wojowali, nieraz widziałem, jak sobie w bitwie poczynął.

- Widzisz! A i pan nawet nietęgą miał minę. „Złe to miejsce - rzekł - pewnie dlatego, że zła tu wiele się wydarzyło i krwi niewinnej w ziemię wsiąkło. Strasznie tu, aż uwierzyć można w babskie gadanie o miejscach, gdzie upiory a strzygi tańcuja”. I przeżegnał się trzy razy, a my wszyscy razem z nim. Nawet Żegota, choć mówią o nim, że to zbrodzień co ze stryczka się zerwał i w Boga nie wierzy, a też znak krzyża uczynił. I co powiesz, Latoch?

- Ano, skoro sam pan tak rzekli i bożyli się, iście straszne musi być ono pogorzeliśko.

- Potem kasztelan z setnikiem na stronę się udali i naszeptowali coś długo, po czym Żegota zbrojnych zawinął i co koń wyskoczy pognął ku traktowi na Kraków. Nie dziwne to?

- Dziwne zaiste. - Latoch podparł głowę dłonią, pociągnął tęgi łyk piwa. - Nie na nasze to głowy, Miłek, a tyle ci powiem, że kasztelanowi naszemu zbrodzień jego brata żyć nie dają, jak powiadają, albo też i udział w grzechu księcia Włodzisława względem króla. A może, Miłek, wszystko razem?...

- Słusznie gadasz, Latoch. Nie na mój to rozum.

* * *

Biskup niepewnie popatrywał w stronę kasztelana. Jędrzej, rozparty przy kominie, bez zmrużenia powiek patrzył na ogniki pełgające po pokrytych gorącą siwizną kawałkach drewna. Przed oczami wciąż miał ruiny domu na pogorzeliśku, swąd spalenizny i karbowane podobnym popiołem belki. Po ścianach refektarza ogień odbijał się fantazyjnymi mozaikami.

Opat Jan zdawał się podrzemywać, jednak kiedy biskup odezwał się, spojrzał na niego przytomnym, trzeźwym wzrokiem.

- Zdecydowaliście, kasztelanie?

Jędrzej obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Zostawię tu trzydziestu zbrojnych, jakem przyobiecał. Jeno co do poszukiwań potworów, tego uczynić nie mogę. Wiąże mnie rozkazanie książęce, jak sami dobrze wiecie. Tyle, że posłałem Żegotę z dwoma ludźmi, by się w okolicy rozpatrzył. On tam na żadne rozkazy zważał nie będzie, jak go znam, choć mu to przykazałem.

Opat odetchnął z ulgą.

- Dobrze chociaż tyle.

Drzwi refektarza otworzyły się z impetem. Stanął w nich kasztelański żołnierz.

- Co tam, Rybik? - rzucił Topór. - Stało się co?

- Strzygi pod klasztorem!

Opat przeżegnał się. - Toż pełnia dawno minęła!

- Widać tym strzygom to nie wadzi - mruknął kasztelan. - Chodźmy zobaczyć.

W izbie nad bramą wciąż jeszcze przebijał się mdlący zapach krwi, mimo iż podłoga została dokładnie wyszorowana, a całe pomieszczenie okadzone siarką.

- Odsuńcie łuczywo! - Topór machnął niecierpliwie ręką. - W oczy prosto świeci i ślepi, że nic nie widzę! Obie strzygi przyszły?

- Obie? - Rybikowi zatrząsł się głos. - Panie, ich jest zaś trzy!

- Trzy?! - zdumiał się biskup. - Wszak jedną sam opat...

- Zabierzcie wreszcie łuczywa - popędził Jędrzej - i dajcie samemu popatrzeć.

Wychylił się głęboko przez ciasne okienko. Na zewnątrz, oświetlone nikłym światłem księżyca w trzeciej kwadrze, wolno przesuwają się trzy sylwetki. Trzy! Dobrze gadał Rybik!

- I co? Co tam widać? - Lambertus niecierpliwie targnął za poję kasztelana. - Ile ich jest?

- Trzy! - Kasztelan z trudem wydobyl z okiennego otworu krzepkie ciało. - Tyle, że przedtem miały być dwie mniejsze i jedna duża, tak?

- Nie inaczej - przyświadczył opat.

- No, to teraz są dwie duże i jedna mała!

Biskup przeżegnał się. Opat i Rybik poszli w jego ślady. Kasztelan znowu wyjrzał przez okno. Potwory zatrzymały się kilka stóp przed okutą srebrem bramą. Jędrzej przetarł oczy. Od wyciężonego wpatrywania się w ciemność zaczynały łzawić.

- Co tam widzicie? - Lambertus znowu pociągnął płaszcz Topora.

- Idźcie do drugiego okna, sami zobaczycie! - Szarpnął się zagadnięty niecierpliwie.

Usłyszał drobne kroki, skrzyknęła okiennica obok. Tymczasem na dole strzygi stały bez ruchu. Patrzyły w górę, na wychylających się ludzi. Zbyt jednak było ciemno, żeby Topór mógł dostrzec jakieś szczegóły. Coś jednak było nie tak, coś nie pasowało w tym, co widział. Cofnął się do izby.

- Przynieść wiązkę zapalonych pochodni, migiem!

Lambertus patrzył pytająco ze swojego miejsca przy drugim okienku. Ale już w pomieszczeniu uczyniło się widno. Rybik podał kasztelanowi pochodnie. Ten chwycił je i natychmiast cisnął przez okno.

- Co robicie? - krzyknął opat. - Rozeżlicie je tylko!

Jędrzej nie słuchał. Na powrót wychylony, spoglądał w dół.

Strzygi nie zwróciły na ogień żadnej uwagi. Z natężeniem wpatrywały się w wyżkę nad bramą. Dwa zaślinione, pełne zębów pyski. Dwie pokraczne poczwary o pazurzastych, sięgających ziemi rękach. Dwie! Bo trzecią był niewątpliwie człowiek, albo ktoś, kto człowieka przypominał. Spod głęboko nasuniętego kaptura połyskiwały oczy, świecące zupełnie jak u napotkanego w głębi lasu wilka. Jednak postać była ludzka. Biała dłoń wysunęła się z szerokiego rękawa, wyciągnęła się w kierunku patrzących i wykonała gest błogosławieństwa.

- Jezu Chryste! - Doleciał kasztelana zduszony okrzyk biskupa.

Obok Jędrzeja przepchnął się opat. Kasztelan słyszał jego świszczący oddech i czuł szybkie uderzenia serca.

Tymczasem zakapturzony zbliżył się ku pochodniom i niespiesznymi ruchami rozkopał je na wszystkie strony, po czym gasił szybkimi ruchami płaszcza. W tym czasie obie strzygi zaczęły wykonywać dziwne, płynne ruchy, jakby tańczyły w rytm niesłyszalnej muzyki.

Człowiek w kapturze wyjął z zanadru spore zawiniątko, szerokim gestem rzucił je ku bramie, a potem odwrócił się i powoli poszedł w stronę lasu. Strzygi, nie zaprzestając płasów, podążyły z nim.

- Zawołać mi Latocha - warknął kasztelan. - Natychmiast! I przynieść z dołu ten tłumok!

* * *

- Pasterz Upiorów - wyszeptał pobladłymi wargami Latoch, wpatrując się w leżącą na ławie głowę Żegoty.

- Co tam mruyczysz, stary? - Opat niecierpliwie szturchnął go w ramię.

- To musiał być Pasterz Upiorów!

Lambertus otworzył szerzej oczy, kasztelan jęknął przeciągle.

- Myślałem, że to tylko głupie babskie gadanie. - Biskup skrzywił się niechętnie.

- O strzygach pewnie mniemaliście to samo - odparł Topór. - Jest jedno, może być i drugie.

- Co to jest ten upiorny pasterz? - spytał opat. - Wiecie wszak, że nie są mi znane wszystkie opowieści tego kraju. W mojej rodzinnej Moguncji...

- Nie upiorny pasterz - poprawił go kasztelan - ale Pasterz Upiorów.

Latoch przeżegnał się trzy razy.

- Strzeż nas, Panie, ode złego - wymamrotał.

- On go zabił. - Kasztelan wskazał głowę na ławie. - Sam Pasterz to zrobił. Widzicie, że brak śladów zębów, a cięcie równe jak od miecza.

- Jakby garść zboża ściał sierpem - szepnął Lambertus. - I kropli krwi przy szyi nie widać...

- Czy w końcu dowiem się czegoś więcej? - zniecierpliwiał się opat.

- Mów, Latoch - rozkazał Jędrzej. - Tyś najstarszy i najbardziej doświadczony. Pono jeszcze nawrót pogaństwa pamiętasz.

- Szczęnięciem wtedy byłem - odparł - ale wiele mi w pamięci zostało. Wtedy pierwszy raz usłyszałem gadki o Pasterzu Upiorów. Powiadali, że Bolko, niewzdany syn Mieszka Wtórego, po śmierci w takiego potwora się obrócił i legionom złych duchów przewodzić począł. Gwałtownik to był i w gniewie miary nie znał, zupełnie jakby Chrobrego był synem, a nie łagodnego Mieszka. Widać tak to już jest. Wszak i Szczodry z lędźwi człeka wielkiej dobroci i cierpliwości wyszedł, a jaki był, wszyscy pamiętamy...

- Ty mów, stary, do rzeczy - mruknął kasztelan - a nie opowiadaj nam o Bolku, którego imię skazano na zapomnienie.

- Powiadają - podjął Latoch - że za owym Pasterzem wedle jego woli wszelki upiór, jak to wapiierz, strzyga, leszy czy topielica nawet, idzie. Sami wiecie, że stwory te głupie są z natury i do rządneho działania niezdolne. Samopas też zwykły chadzać, a nawet gdy się stowarzyszą to nie na dłużej niżli jedną noc i to tylko w czas pełni. Bo to wapiierz pono w pogardzie ma strzygę, a leszy to i na wapierza, bywa, zapoluje. Lecz gdy się zjawi Pasterz Upiorów, wszystkie one w niezwyklej zgodzie zewsząd ściągają i wkoło niego się gromadzą, przyświeca im miesiąc czyli nie. Tak było i z Bolkiem Mieszkowicem, jak powiadał mój ojciec, a nie zwykł on słów na wiatr rzucać ni babskimi plotkami się zabawiać. Ponoć Pasterzem ten jest, kto pokrzywdzony za życia, po śmierci spokoju zaznać nie może i w poświęconej ziemi nie dano mu spocząć.

- Miej nas, Panie, w opiece - szepnął opat. - Myślicie, że to Szczodry upiorem powrócił, jak to stara księżna w oczy rzuciła Hermanowi? A może to otruty knieźyc Mieszko przybył o swoje się upomnieć?

Lambertus machnął ręką.

- Ciało Mieszka spalone zostało właśnie po to, by po śmierci nie wrócił. Sam świętej pamięci Ostępa tego dopilnował. A i w święconej ziemi popioły jego spoczęły. Tegom ja z kolei dopatrzył, bo jakże to prochy niewinnego młodzieńca miał wiatr po polach rozwiewać.

- Myślicie, że to król? - spytał opat z drzeniem w głosie.

- Tak by wychodziło. - Biskup zapatrzył się w płomień na kominie. - Tak by wychodziło - powtórzył. - A to znaczy, że bez książecego zezwolenia nic nam uczynić nie wolno.

Zapadła cisza.

- Jedno mi tylko nie pasuje - odezwał się po chwili kasztelan. - Dlaczego upiory napały się na klasztor, w którym wręcz Stanisławowi schronienia odmówiono, gdy go Bolko ścigał, miast prześladować jeśli nie Sieciecha samego, to przynajmniej jego dziedziny?

- Co nam pozostaje robić? - Opat spojrział wyczekująco na Jędrzeja.

- Czeakać - odparł krótko Topór. - Czeakać i mieć nadzieję, że Włodzisław swój nierozsądny rozkaz cofnie. Rano wyjechali do Płocka pośtańcy.

* * *

- Jako do ojca naszego i opiekuna do was przychodzim. - Postawny chłop w haftowanej świątecznej sukmanie pochylił się, prawie zamiatając długimi siwymi włosami ziemię. - Ratujcie nas, panie, bo przyjdzie gospodarstwa porzucić i na tułaczkę się udać!

- Prawdę sołtys gada - odezwał się przybyły wraz z nim starzec. - Nie pomnę ani ja, anim nawet od mego ojca i dziada słyshał, by tyle złego w okolicy się pokazało, nawet kiedy grasowały pogańskie kupy, nim je książę Kazimierz uśmierzyli! Ot, wyszła z lasu jaka strzyga, tośmy ją widłami przegonili albo i zakłuli, porwała południca jakie dziecko, to i trudno, bywa tak, gdy matka nie dopilnuje, ale to, co teraz... - Machnął bezradnie ręką. - Mów, Gadek, dalej, mów...

Sołtys odchrząknął.

- Ano, wielmożny panie, rozzuchwaliło się złe tak, że i we własnym domu człek spokoju nie zazna. Tłuką po nocy do drzwi, blade jakieś twarze przez okna zaglądadają a pchają kosmate łapska.

- Czego ode mnie chcecie, ludzie? - Kasztelan pochylił się do przodu na zydlu, jakby miał zaraz powstać.

- Ratujcie nas! - wykrzyknął starzec i padł na kolana. Po chwili Gadek niechętnie poszedł w jego ślady. - Tylko patrzeć jak w biały dzień Pasterz najedzie wsie z watahą upiorów!

- Mam związane ręce - mruknął Topór. - Nie mogę wam powiedzieć nic więcej, ale sam jestem bezradny, jako i wy!

- Wy, bezradni? - Gadek powstał z kolan a w oczach pojawiły mu się złe błyski. - Wy macie swój kasztel, a mnisi klasztor warowny, jeno my wystawieni jesteśmy na pastwę złego! Wiemy, że wam książę zabronili na strzygi polować, że to niby król może być między nimi, ale nam za jedno kto z nas krew wyssie!

Jędrzej poderwał się, chwycił za gardło sołtysa.

- Skąd to wiesz, kto ci powiedział?
- Puście go, panie - odezwał się starzec. - Tajemnica jest gdy wie jeden. Jeśli wie dwóch, wiadomo kto zdradził, ale jeśli wtajemniczonych jest więcej, kto zdradził, prawdy nie dojdzie.
- Za wasze zuchwalstwo zawisniecie jeszcze dziś! - warknął kasztelan puszczając Gadka.
- Nas możecie i zabić. - Starzec zbliżył się do Jędrzeja. - Ale wiedzcie, że jeśli czegoś nie uczynicie, pewnego dnia kupy waszych własnych chłopów możecie ujrzeć pod zamkiem. My za jakieś wasze sprawy umierać nie chcemy! A za sprawki waszego brata, niech spoczywa w pokoju, tym bardziej!
- Jędrzej poczuł, jak krew bije mu do głowy, a przed oczami zatańczyły czerwone płaty.
- Straż! - zawołał zachrypłym od wściekłości głosem. - Powiesić tych dwóch przed bramą ku przestrodze! I niech wiszą dopóki sami ze sznurów nie odpadną!

* * *

Lambertus z wykrzywioną złością twarzą wpadł do komnaty kasztelana.
- Coście uczynili najlepszego? Kazaliście zabić tych, w których ludzie położyli zaufanie!
- Moja sprawa - warknął Topór. - Moi ludzie i moja sprawa!
- Ludzie może i wasi, ale kiedy się wieść rozniesie, jak sobie z wysłańcami poczynacie, nie będzie chętnych, żeby do was przyjść!
- Ci chłopci ośmielili się grozić! Mnie grozić!
- A nie przyszło wam do głowy, jak bardzo muszą być przerażeni, jeżeli ośmielili się do was przemawiać tak zuchwale? Prawdę na koniec rzekli, żeście ich powinni bronić.
- Nikt nie ma prawa... - zaczął kasztelan, ale przerwało mu machnięcie ręki biskupa.
- To teraz nieważne. Teraz musicie wraz ze mną udać się do klasztoru.
- Co się znowu stało?
- Opat przysłał do mnie posłańca. Do mnie- podkreślił. - Do was bezpośrednio najwyraźniej się obawiał...
- Dalibyście już spokój - mruknął Jędrzej.
- Wypowiadacie się, odbędziecie pokutę, to dam wam spokój. A na razie jedźcie ze mną. Wszystkiego dowiecie się na miejscu. A, i weźcie ze sobą silny poczet. Nigdy nie wiadomo, czy co nie zajdzie w drodze albo i chłopci się nie ruszą.
- Spróbowaliby!
- Poczet weźcie!

* * *

- Co powiadasz?! - Jędrzej ze zdumienia wytrzeszczył oczy na spoglądającego ponuro człowieka. - Bredzisz, Chościk!
- Z wami chce Pasterz Upiorów gadać - powtórzył chłop. - Był u syna tego sołtysa, co go wczora kazaliście powiesić, jak... - zacisnął zęby, jakby nie chciał, żeby wyrwało mu się jakieś nieopatrzone słowo. - Jeśli nie, zaczniesz wraz z poddanym mu pomiotłem wieś pustoszyć, gdy do klasztoru dostać się nie może.
- Dlaczego nie przyszedł z tym syn sołtysa? - spytał Topór podejrzliwie. - Z nim wszak, nie z tobą, ów stwór rozmawiał.
- Mnie posłali - odparł, patrząc mu prosto w oczy chłop. - Rodzina mnie onegdaj odmarła, więc i wszystko mi jedno. Ludzie boją się, byście nie uczynili z wysłańcami tego, co z tamtymi którzy wiszą przy bramie.
Lambertus posłał kasztelanowi znaczące spojrzenie.
- Hardyś - rzucił Jędrzej. - Bacz, by ci...
- Nie czas na to - przerwał biskup. - Nie kłamiesz aby? - zwrócił się do chłopca.
- Co mam kłamać - mruknął Chościk, wzruszając ramionami. - Przysięgnąć mogę na krzyż i na co chcecie, bom sam owego Pasterza widział. Dziś przybędzie pod klasztorną bramę. A wy róbcie, co chcecie. My zaś - głos chłopca nabrał twardości - uczynim, co nam wypadnie.
- Grozisz? - Kasztelanowi włosy zjeżyły się na głowie z wściekłości. - Ośmielasz się grozić, chamski synu?!
- Ośmielam się. - Wysłannik wsi zmrużył oczy. - Mnie za jedno, będę żył, zali wy mnie każecie zabić czy zrobią to strzygi! Ino ludziom w waszej dziedzinie za jedno nie jest! Żyć chcą w spokojności, a wasz obowiązek ich bronić!
Topór przyskoczył do chłopca i dzielił go pięścią w twarz. Chościk zachwiał się i cofnął pół kroku.
- To wasza odpowiedź? - spytał zimno. - Ją mam zanieść waszym wioskom?
Topór uspokoił się.

- Mogę cię jeszcze kazać oćwiczyć i powiesić - wycedził. - Ale nie uczynię tego. Nie dziś w każdym razie. Odpowiedzi żadnej nie będzie, bo z własnymi poddanymi układać się zamiaru nie mam. Co zrobię, moja rzecz, a wy macie siedzieć w chałupach i nie gromadzić się nigdzie pod karą gardła.

* * *

- Co chcecie zrobić? - Chościk masował stłuczoną potężnym ciosem kasztelana szczękę. - Topór nam nie daruje, żeśmy ośmielili się mu stanąć okoniem. Wypada to przemyśleć, Wilik, jeżeli nie chcesz skończyć jak ojciec.

- A co nam za wybór? - Młody mężczyzna uderzył pięścią w ławę. - Z jednej strony kasztelan, a z drugiej strzygi! Sam słyszałeś, co Pasterz powiedział. Nie dam swoich na zatrąę. A zechce się mścić Jędrzej, w lasy ujdziem i tyła z nas będzie miał!

- Z gromadą trza rzecz uzgodnić. Ty czy ja możemy uciec, ale reszta...

- Reszta niech powie, żeśmy ich przymusili albo i oszukali. Wszystkich kasztelan wyciąć nie może, bo kto mu będzie tyrał. Na resztę nie taki on jak jego brat.

- Ojca twego zabić kazał...

- Boi się, jako i my. - Wilik poderwał się i przemierzył w obie strony ciasną izbę. - Dlatego taki się stał gwałtowny. Jeno dbać musimy o siebie sami, jak widać, bo nikt inny o nas nie zadba.

- Tedy radę starszych zwołaj. Ty teraz za ojca nam będziesz przewodził. I tobie jednemu damy przywództwo, jak w czas wojny.

- Jak w czas wojny - powtórzył cicho Wilik.

* * *

Kasztelan wyteżonym wzrokiem wpatrywał się w ciemną linię lasu coraz mniej wyraźną w zapadającym zmroku.

Naprawdę chcecie wyjść do tego stwora z piekła rodem? - spytał opat.

- Wyjdę i zabiję gadzinę! - zgrzytnął Jędrzej. - Nie będzie mi chłopów buntować. Nie będzie mnie straszyć!

- Ale jeśli to król...

- Wiem kto to jest! - przerwał mu gwałtownie kasztelan. - To Przedstaw Ostrzew! Wrócił pomścić krzywdy!

- Jesteście pewni?

- Sami pomyślcie. Były trzy strzygi, tak? Opat skinął głową.

- Dwie mniejsze i jedna duża. Potem zabiliście jedną i, jak mniemam, zadbaliście, by nie mogła powrócić mimo waszych w tym względzie skrupułów. Nie znałem Przedstawowych dzieci, ale tamta dziewczynka jako żywo przypominała z rysów żonę Ostrzewa. Wiem ja też, że on niedawno powrócił na swoje, a co zastał nie muszę mówić. Ślad po nim zaginął, a zaraz potem pojawił się Pasterz Upiorów. To musi być Ostrzew! I dlatego go poczwary słuchają!

- Może macie rację. Jak nad tym się zastanowić, to na pewno macie rację. A jak go zamierzacie zgładzić?

- Weźmiecie wody poświęconej i miecz mój ochrzciecie!

- Chrzcić miecz? - Opat aż zatchnął się z oburzenia. - To niemożliwe! To się nie godzi! Toż to grzech śmiertelny!

Topór uniósł się z zydła.

- Nie godzi się? - syknął. - Grzech, powiadacie? A chcecie mieć spokój? Zresztą - dodał spokojniej - jeśli wam to zabrudzi sumienie, biskup rozgrzeszenie na pewno wam da! Sami go zresztą spytajcie.

- Chrzcić miecz - szepnął opat. - Mogę poświęcić, ale chrzcić?... Nawet sam papież na to by nie zezwolił. Spotka nas kara Boża...

- Niech wreszcie spadnie to na mnie! - rzucił popędliwie Jędrzej. - Sam to zrobię! Wy mi dajcie tylko wodę! I formułki po łacinie wyuczcie!

* * *

- Chłopi gromadzą się pod lasem! - Biskup wpadł zdyszany do celi opata.

- A gdzie kasztelan? - spytał, rozglądając się.

- W kaplicy - powiedział drżącym głosem opat. - Poszedł miecz ochrzcić... Powiada, że to pono jedyny sposób na Pasterza Upiorów.

Lambertus przybladł, poczuł jak od łądzwi pełźnie ku sercu lodowata macka strachu.

- Oszalał - zająknął się. - Zupełnie oszalał! Przekleństwo na siebie ściągnie! I na nas!

- Mówiłem mu, przestrzegałem, ale uparł się! Pewnie już skończył i poszedł przed klasztor na spotkanie, bo najwyższy byłby czas.

- Boże Ojczy! - Lambertus przeżegnał się. - Chroń nas ode złego!

* * *

- Jesteś - odezwał się Pasterz Upiorów głuchym niskim głosem.

- Jestem. Tak jak chciałeś, szatańskie nasienie! - Topór mówił z zaciśniętymi szczękami. Oddychał głośno przez zęby, starając się powstrzymać mdłości. Odór dolatujący od zakapturzonej postaci był bardziej obrzydliwy niż wszystko, co w życiu zdarzyło mu się napotkać. Rozejrzał się. Od strony lasu zbliżały się błyski pochodni. Chłopi przybyli zobaczyć, co się będzie działo. Już on im pokaże po wszystkim!

- Jesteś - powtórzył Pasterz. - I ja jestem. Jak widzisz rozkazałem swoim strygom pozostać w ukryciu, by pokazać, że nie chcę siał bezrozumnej grozy.

- A czego chcesz? - Jędrzej położył dłoń na rękojeści miecza.

- Nie domyślasz się? - W głosie zakapturzonego pojawiło się coś na kształt uśmiechu. - Na pewno się domyślasz. Głupi nie jesteś. Brata twego chcę!

- Ale dlaczego?

Ognie pochodni były coraz bliżej. Gromada mężczyzn półkolem stanęła opodal, tak żeby móc słyszeć rozmowę.

- Dlaczego? Bo rzucił przekleństwo Ostępa. Przekleństwo najgorsze, straszniejsze niżli potępienie. Niewinną niewiastę i jej dzieci zamienił w najbardziej odrażające stwory. I cierpią. Cierpią takie katusze, jakby za życia wyrządziły komuś okrutne zło! A mnie wezwano zza grobu, abym je uwolnił. Bo pokonać taką klątwę może tylko drugi potępieniec! Bo stamtąd można wrócić tylko po to, żeby unurzać się w plugastwie, lecz w słusznej sprawie! Bo zdjąć przekleństwo można tylko, gdy taki jak ja przekleśnik, plugawe ciało twego brata weźmie w objęcia i w tany z nim się puści! Mam moc rozkazywać poczworam i upiorom, mam moc rozkazywać złym duchom. I w mocy mojej wszystkie je odwołać, odesłać, gdzie być powinny. Ale wpięć do truchła muszę zyskać dostęp. Próbowaly same strzygi tego dokonać, dlatego chciały się wdrzeć do klasztoru. Nic by na tym nie zyskały, ale ich pogrążone w wiecznym otepieniu myśli słusznie kierowały się w tę stronę. A trzeba ci wiedzieć, że być strzygą to męka najgorsza. Śmierć od najstraszniejszych tortur wydaje się przy niej łaską...

Tu rozległ się śmiech, który przyprawił kasztelana o lodowaty dreszcz.

- Domyślałeś się tego, prawda? Nie mogłeś się nie domyślać.

- Nie dam ci zbeczczeć ciała zmarłego! Tego nie uczynię za żadną cenę!

- Wyludnię twoje ziemie - zagrzmiął nieoczekiwanie głośno upiór. - Zwołam wszystkie upiory z wszystkich krain, a nie tylko te dwie nieszczęsne istoty! Spod ziemi wydobędę i tę, którą zabiście i kazali ćwiartować. Najadę twoją dziedzinę z całym wojskiem strzygoni i ich pobratymców. Ni jeden kłós tu po ich przejściu nie wyrośnie, wszystko pokryją ugory i lasy, a człeka jednego nawet nie uświadczysz!

Wśród chłopów zapanowało poruszenie. Topór próbował odgadnąć z dolatujących go słów co właściwie zamierzają. Czy staną ostatecznie po jego stronie, czy oczekują, że spełni żądanie Pasterza Upiorów. Krwawy poblask zachodzącego słońca potęgował jeszcze ponure wrażenie.

- Tyś jest Ostrzew - powiedział kasztelan. - Przedślaw Ostrzew. Odsuń kaptur, poznałem cię, nie masz co się ukrywać pod zasłoną!

Znowu rozległ się mrozący krew w żyłach śmiech i gwałtownym ruchem kaptur został odrzucony na plecy.

- Poznałeś mnie? - spytał Pasterz. - Naprawdę?

Jędrzej poczuł jak krew odpływa mu z serca, a przerażenie obezwładnia wszystkie członki.

* * *

- Co widzicie? Mówcie!

Opat niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, usiłując zobaczyć cokolwiek przez wąski otwór okna, który zasłaniał Lambertus. Drugie okienko zostało na wszelki wypadek zabite deskami, więc ciekawość opata wystawiona była na ciężką próbę.

- Wieśniacy podeszli jeszcze bliżej - odezwał się po chwili Lambertus. - Są już tak blisko, że pochodnie wyraźnie oświetlają i Jędrzeja, i złego ducha... Rozmawiają. Kasztelan sięgnął do miecza, ale go jeszcze nie wydobył... Mówi coś, tamten odpowiada... Odrzuca kaptur. Chłopi przybliżają się jeszcze. Czy oni naprawdę się nie boją? Mnie strach prawie miesza zmysły! Kasztelan wydobył miecz! Co on zamierza?

Rzeczywiście byłby Pasterz Upiorów nie królewskim, ale Przedstawowym duchem? Szkoda, że chociaż miesiąc nie świeci, bo przy mętnych ogniach trudno cokolwiek dostrzec wyraźnie.

Zamilkł i z natężeniem wpatrywał się w coraz głębszą ciemność, rozświetlaną jedynie blaskiem pochodni.

- Stoją naprzeciwko siebie, nie ruszając się. Widać cały czas rozmawiają.

Znowu umilkł, ale nie na długo.

- Boże! - Cofnął się nagle, wpadając na stojącego tuż za jego plecami opata. - Mój Boże! Co on zrobił!

- Co się stało? Co tam się dzieje? Lambertus bez słowa odsunął się od okna, ruchem ręki zaprosił do niego opata.

Ten natychmiast skorzystał z okazji, wyjrzał i poczuł, jak nagły lęk odejmuje mu władzę w nogach.

* * *

Miecz błyszczał ostrym, lodowo błękitnym światłem. Nie był to poblask pochodni, wydobywał się z wnętrza żelaza. Blask ten urywał się nagle w dwóch trzecich głoźni, w miejscu, gdzie sztych pograżony był w ciele Pasterza Upiorów.

- Ochrzcilesz miecz? - raczej stwierdził niż zapytał Pasterz. - Nie lepszy jesteś od swego brata. Mnie zdołasz nim zabić, ale na siebie ściągniesz po stokroć gorsze nieszczęście.

Patrzył spokojnie na sterzące z piersi ostrze, jakby nie robiło na nim żadnego wrażenia. Jednak jego słowa świadczyły o czym innym.

- Mnie zdołasz zabić, Jędrzeju. Tak jak twój brat zdołał zgładzić nieszczęsnego Mieszka. Podstęp, trucizna... ochrzczoney wbrew prawom nieba miecz... Warn widać i to za jedno złamać boskie nakazy.

Topór puścił trzymaną dotąd w kurczowym uścisku rękojeść. Pasterz Upiorów zachwiał się, przykleknął na jedno kolano.

- Mnie zdołasz zabić - powtórzył. - Lecz klątwa pozostanie... nie zaznasz do końca swoich dni spokoju... Nie zaznasz spokoju po śmierci. A to, co będziesz musiał uczynić jest wielokrotnie gorsze niż wydanie ścierwa Ostępy na moją łaskę...

Zgromadzeni chłopci stali jak wmurowani, chłonąc to, co się przed nimi rozgrywało. Niejeden przeklinał w duchu godzinę, w której ośmielił się tu przybyć. Niejeden chętnie by rzucił pochodnię i uciekł, gdyby nie było wstyd przed innymi.

- Już dziś, w godzinie mego powtórnego zgonu... - Pasterz wyprostował się nagle, powstał na równe nogi, jakby mu przybyło sił. Wraz z ruchami jego ciała świecąca głoźnia wykonywała dziwaczne ruchy, kreśląc w powietrzu zawiłe, pozostające na krótką chwilę wzory. - Już dziś, w godzinie, w której tym ciosem uwolniłeś mnie, bym stanął nareszcie przed sądem Pana naszego, wzywam cię, Jędrzeju Toporze, wzywam cię, kasztelanie, wzywam cię, mój zabójco...

W powietrzu zaczęła się pojawiać i rozszerzać na wszystkie strony sina luna. Tego za wiele było obserwującym zajścia chłopcom. Wszyscy naraz rzucili się do ucieczki. Tylko jedna postać pozostała na miejscu, niewidoczna poza kręgiem bladego światła.

- Padł nareszcie! - Tym razem to opat zdawał sprawę biskupowi z wydarzeń na zewnątrz.

Lambertus siedział z głową opartą na rękach.

- Upadł, a to diabelskie światło od razu znikło! Nic nie widzę. Ćma taka, że choć oko wykol...

Wydobył się z okna i usiadł naprzeciwko biskupa.

- Co o tym sądzicie? - spytał. - Przeraza mnie to wszystko.

- Nie wiem, co mam sądzić - odparł głucho Lambertus.

Siedzieli w zupełnej ciszy. Przerwały ją dopiero kroki na schodach. Drzwi otworzyły się. Stanął w nich kasztelan. Był blady jak trup, w rękach trzymał miecz, na którym nie było znać nawet śladu krwi.

- Nadspodziewanie łatwo wam przyszło rozprawić się z tym diablím pomiotem! - odezwał się opat.

- Tak myślicie? - Jędrzej mówił z wyraźnym wysiłkiem.

- Padł przecież od pierwszego ciosu...

- Ano padł...

W jego głosie było coś takiego, że biskup podniósł głowę.

- Mówcie - powiedział z niepokojem. - Powiedzcie, na Boga, co tam się naprawdę stało? Kto to był ten Pasterz Upiorów? Rzeczywiście Ostrzew?

- Ostrzew - powiedział cicho kasztelan. - Co Ostrzew? - Spojrzał nieprzytomnie.

- Mówcie wreszcie! - powtórzył biskup. - Jak na spowiedzi...

- Potem - odparł niecierpliwie Topór. - Teraz muszę wydać rozkazy moim ludziom.

* * *

Wilik z napięciem przypatrywał się twarzy Chościka. Szara barwa skóry zaczęła ustępować pod zbawiennym wpływem grzanego miodu.

- Aleś się najadł strachu - sapnął Wilik. - Ześ się też odważył pozostać...

- A co mi tam - mruknął Chościk.

Rozejrzał się po izbie. Stłoczeni siedzieli tam wszyscy ze starszyny, czekając, co powie.

- Opowiadaj!

Chościk łyknął z kubka.

- Kto był upiór wie każdy, kto chociaż raz króla widział. Tego oblicza się nie zapomina. Samiście słyszeli, jak mówił, że go Przedstaw Ostrzew wezwał, nim sam zakończył życie samoubijstwem, a sam w upiора się zmienił. Wiecie, czego chciał...

- Wiemy, wiemy - przerwał mu niecierpliwie głos spod ściany. - Mów, co się stało potem.

- Potem? - Chościk uśmiechnął się krzywo. - Niewiele. Tyła wam mogę rzec, że gdy się możni wadzą, choćby i z za grobu, i tak na nas, ubogich, się skrępi...

- Nie zabawiaj się w zgadulę, a mów!

Uśmiech znikł z twarzy Chościka.

- Jak chcecie wiedzieć, to wam powiem, żebyście się modlili o długie życie dla naszego jaśnie kasztelana Jędrzeja. Bo po jego zgonie przyjdzie chyba z tej ziemi uchodzić!

- Co zaś gadasz - poruszył się niespokojnie Wilik. - To nie koniec? Zabił przecie poczware.

- Ano zabił - potwierdził Chościk. - Byście jeno zostali, to byście i wy usłyszeli, co mu Pasterz przed śmiercią rzekł...

W tej chwili przed domem załomotały końskie kopyta i rozległy się krzyki.

- Co to? - Wilik wyjrzał przez okno. - Kasztelańscy! To woje z hufca Topora... Jezu Chryste, ratuj się, kto może!!!

* * *

Chłodne wnętrze kaplicy koilo zmysły podrażnione zewnętrznym skwarem i niemiłosiernym blaskiem słońca, lekkim powiewem obmywając twarz niby strumień orzeźwiającej wody. Biskup przymknął oczy, aby przywykły nieco do miękkiego mroku świątyni. Przez chwilę obserwował grę błysków pod powiekami, bawiąc się tym widokiem. Czekająca go przykra rozmowa i chciał jak najbardziej przedłużyć czas, zanim do niej przystąpi.

Westchnął ciężko, otworzył oczy i spojrzał w kierunku ołtarza. Rozciągnięta na posadzce postać zdawała się rozmiarówomalże dziecka. Gdyby nie wiedział, kogo tu zastanie, mógłby przypuścić, że w istocie dziecię albo jakaś niewiasta pokutuje u stóp Pańskiego Stołu. I jeszcze gdyby nie nagie ostrze miecza połyskujące obok pokutnika.

Biskup zbliżył się ostrożnie. Miał nadzieję, że tamten zasnął i rozmowa odwlecze się jeszcze. Chciał się wycofać, jednak leżący w tej chwili odwrócił głowę i na widok dostojnika powstał ciężko. W zapadłych oczodołach źrenice jarzyły się gorączką.

- Witajcie, wasza dostojność - odezwał się schrypnięty głuchy głos. - Przyszedłeś pocieszyć potępionego? Lambertus przeżegnał się. Po grzbiecie przebiegły mu ciarki.

- Nie mówcie tak o sobie, kasztelanie - powiedział cicho. - Nie mówcie tak w obliczu naszego Pana.

Jędrzej spojrzał w kierunku ołtarza.

- On. - wskazał ręką - odwrócił ode mnie swoje oblicze!

Biskup podążył wzrokiem za dłonią kasztelana.

- On - odparł - nie odwraca się od swych owieczek. To one raczej mają we zwyczaju oddalać się od Niego.

- Czego ode mnie chcecie, biskupie?

- Chcę wiedzieć, co się stało. Powiedzcie mi, dlaczego wczoraj kazaliście wymordować, wyciąć w pień własnych poddanych? Za to, że wam ośmielili się rzucić w oczy prawdę?

Topór pokręcił przecząco głową. Usiadł w kucki na posadzce, chwiejąc się lekko w tył i w przód.

- Za co zatem? Za to, że przybyli zobaczyć co się stanie pod klasztorem? A może widzieli tam coś, czego widzieć nie powinni?

Jędrzej nie odpowiedział, nie uczynił żadnego gestu poza rytmicznymi kiwnięciami.

- A więc o to chodzi - mruknął biskup. - Zaszło tam coś, co chcecie ukryć.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Czy ten Pasterz Upiorów to był w istocie Ostrzew, czy... - Dostojnik zawiesił głos.

Cisza stawała się coraz bardziej męcząca, a w biskupie narastała chęć ucieczki od przytłaczającej obecności czegoś, co towarzyszyło postaci Jędrzeja. Gdyby nie duszpasterski obowiązek, nie przebywałby z nim ani chwili dłużej.

- Widzieli zbyt dużo, słyszeli zbyt wiele - nieoczekiwanie powiedział kasztelan.

Wyprostował się nagle, przyskoczył do Lambertusa, chwytając go za kołnierz sukni.

- Powiem wam jak na spowiedzi. - Jego oddech śmierdział przetrawioną gorzałką. - Tak jak chcieliście! To nie był Przedstaw! Sami się domyśliliście, że nie! To był król. Jaki tam król! - Roześmiał się gorzko. - Upiór jego, i tyle, co go Ostrzew przywołał przed grzesznym zgonem. Żądał, bym mu na pomstę wydał zwłoki Ostępy. Na diabelską ofiarę złożył nieszczęsne szczątki mego brata! Groził karą i piekłem na ziemi straszyl! A kmiotki słuchały o tym i o uczynkach zmarłego. Więc go przebiłem, choćby po to, żeby już przestał gadać...

Puścił biskupa, targnął się za włosy.

- Wtedy mi zapowiedział, że po śmierci sam w takiego jak on się obróć. I sam losu upiora zaznam. Lubo dziś jeszcze ścierwo Ostępy przed klasztor cisnę, by nim strzygi ucieszyć, aby się przekleństwu wyrwać! Przesądzony mój los! Czego bym nie uczynił, czeka mnie potępienie...

Lambertus cofnął się, jakby owionął go gorący podmuch.

- Co też powiadacie. Żeście wbrew rozkazowi ubili Pasterza, to wam księżę wybaczą. Nikt wszak nie musi wiedzieć kim był naprawdę, a ja z pewnością nie powiem. Żeście ośmielili się chrzcić miecz, za to odpowiecie już przed samym Bogiem, a on władny wybaczyć wszystko. Żeście chłopów w przypływie szaleństwa kazali wybić, to na tej ziemi jeszcze odpokutujecie. A klątwę upiora zdejmie z was... choćby i sam papież...

Przerwał mu głuchy śmiech.

- Sami w to nie wierzycie.

- Ale... - Biskup zamilkł. - Co zamierzacie? - odezwał się po chwili.

Jędrzej usiadł na klęczniku, tyłem do ołtarza.

- Zawsze chciałem wiedzieć, jak to się stało - powiedział cicho - że się mój brat stał takim okrutnikiem. Że się ciemnymi sprawami parał... I zawsze dumny taki jakiś byłem z tego, iż sam inny jestem. A teraz wiem... Wystarczy jeden nieopatrzny gest, jeden rozkaz rzucony nie w porę, by stać się diabłem w ludzkiej postaci... Jak ja... Wystarczy jedno słowo, by życie odmienić. Czy się je wypowie, czy usłyszy tylko, bez różnicy. Przekonali się o tym i moi chłopci. Nie wiem, ile słyszeli, bo nie widziałem kiedy pierzchli, ale zawsze... Kazałem ich wyciąć i kazałbym znów, by na ród własny cienia nie rzucać! Ale zbrodnia to jest i zbrodnią pozostanie.

Przełknął głośno ślinę.

- Boję się - wyszeptał. - Boję się tej klątwy. Wiem, że nikt niczego przeciw niej nie zdziała... Wy czy nawet sam święty ojciec. Dosięgnie mnie nie tu, to za grobem, tam gdzie żadna ziemską siłą jej nie zatrzyma. Może gdybym spełnił żądanie Pasterza Upiorów...

Spojrzał najpierw z odrazą na leżący miecz, a potem w stronę płyty prowadzącej do grobowej krypty.

- Zbrodnia do zbrodni - szepnął biskup do siebie. - To się nie godzi.

Jędrzej dosłyszał.

- Nie godzi się. Wiem!

- Co zamierzacie, kasztelanie?

Topór podniósł wzrok. Jego oczy lśniły już nie tylko gorętwą, ale i szaleństwem.

- Przrzeczcie mi - powiedział - że cokolwiek by się stało, dopilnujecie, by po śmierci trupa mego spalono, a prochy rozsypano na wsze strony!

- Co też gadacie! - oburzył się biskup. - To byłby... - zawiesił głos.

- Grzech śmiertelny? - Zaśmiał się zgrzytliwie kasztelan. - Nie mówcie mi o grzechu. Moje myśli są o wiele gorsze niż ta prośba...

Jego wzrok znów pobiegł w stronę krypty.

- O wiele gorsze - powtórzył.